

KULTURA • Premiera „Andrei Chénier”

Opera z gilotyną w tle

DIWNA NIECO wydaje się rzeczą, że dramatyczne dzieje Wielkiej Rewolucji Francuskiej, która wstrząsnęła starym porządkiem rzeczy i odmieniła oblicze całej prawie Europy, znalazły artystyczne odbicie w szeregu znakomitych utworów literackich (jak choćby „Rok 1794” Wiktora Hugo, czy „Opowieść o dwóch miastach” Karola Dickensa), natomiast zupełnie jakoś nie pobudziły wyobraźni kompozytorów operowych, działających w następującej bezpośrednio potem epoce. Dopiero wiele lat później powstać miały dwa świetne dzieła o treści w całości lub częściowo osnutej wokół tamtych krwawych, ale i pełnych patosu rewolucyjnych wydarzeń. Jedno z nich to stworzony u schyłku XIX w. przez włoskiego kompozytora Umberta Giordano „Andrea Chénier”, drugim zaś jest powstały już w XX stuleciu piórem naszego Ludomira Różyckiego „Eros i Psyche”, gdzie wędrująca z woli bogów „przez ludy, wypadki i wieki” bohaterka jeden z epizodów przeżywa właśnie w ogarniętym przez rewolucyjne wrzenie XVII-wiecznym Paryżu.

Obydwa te znakomite dzieła jednak niezmiernie rzadko pojawiają się na naszych scenach (choćaż to drugie stworzył

przecież polski autor). Bardzo interesującym tedy wydarzeniem stała się pierwsza w nowym sezonie premiera Teatru Wielkiego-Opery Narodowej, przynosząca widzom właśnie przedstawienie „Andrei Chéniera”. Wydarzeniem interesującym, tym bardziej że ceniony reżyser Mariusz Treliński – od tego sezonu także artystyczny dyrektor Teatru Wielkiego – postanowił pokazać, iż wydarzenia, o jakich mówi opera Giordana (której tytułowy bohater – rewolucyjny poeta stracony pod fałszywymi zarzutami w trakcie terrorystycznych rządów Robespierre’a – jest postacią całkowicie autentyczną!), mogą równie dobrze odnosić się do znacznie bliższych nam czasów i nawet we współczesnej epoce można dostrzec ich przerażającą aktualność. Każda bowiem rewolucja – zauważa słusznie Treliński – ma podobne trzy fazy: dekadencję opływającej w zbytki klasy posiadającej, przewrót i obalenie tej klasy pod szczytnymi hasłami, a następnie... rządy ciemnego i krwawego terroru. A zresztą... bezwzględne dążenie do władzy i pragnienie utrzymania jej za wszelką cenę, zręczne a cyniczne podburzanie mas ludzkich w imię szlachetnych haseł bez pokrycia, brutalne usuwanie niewygod-

nych przeciwników politycznych i wreszcie terror jako metoda realizacji określonej ideologii – czyż nie znamy tego wszystkiego aż nadto dobrze?

Z myślą o tym właśnie, posługując się wyrazistą i sugestywną symboliką, a nie stroniąc także od groteski, potrafił Treliński przy pomocy świetnego scenografa Borisa Kudliaki przedstawić „Andrę Chéniera” jako dzieło całkowicie współczesne i silnie, mimo pewnych zbyt statycznych i pozbawionych ekspresji momentów, przemawiające do widzów. Reszty dokonuje pełna romantycznego żaru muzyka Giordana pod dynamiczną, acz nieco chłodną batutą Grzegorza Nowaka oraz wokalne kreacje głównych protagonistów: amerykańskiego tenora Keitha Olsena w partii tytułowej, młodej rosyjskiej sopranistki Tatiany Borodiny jako płochej zrazu, lecz potem kochającej całym sercem Magdaleny de Coigny oraz naszego barytona Mikołaja Zalasńskiego w roli Gerarda – lokaja w domu hrabiny, a potem jednego z przywódców rewolucji. Ponieważ zaś na tło krwawych wydarzeń rzucono tu romantyczną historię miłosnego trójkąta, przeto mamy także na koncu budzące nadzieje przesłanie: to mianowicie, że wielka i szlachetna miłość może być silniejsza – nawet od śmierci...

● JÓZEF KAŃSKI